

TEATR AMATORSKI Nr. 97.

WANDA GROT-BĘCZKOWSKA

KOMEDYA W KOMEDYI

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

50833



50833

KRAKÓW. — Druk W. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

AK. 2025-D-1018

OSOBY:

ŻOŁĘDZINSKI, obywatel ziemski.

MARTA, jego żona.

JOZIA, ich córka, lat sześć.

LIPIENIECKI, obywatel ziemski, sąsiad ŻOŁĘDZIN-
SKIEGO.

LIPIENIECKA, jego żona.

KAZIA, ich córka, lat siedmnaście.

KLICINSKI, urzędnik.

MARCIN, karbowy.

MAJOREK, pachciarz.

WRONSKI, woźny.

ZUZIA, służąca.

(Rzecz dzieje się w Warszawie, w mieszkaniu Żołędziń-
skiego).

SCENA I.

MARTA, KLICIŃSKI, ŻOŁĘDZIŃSKI.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*zatrzymując się przed Klicińskim*).

Więc spółka, mój łaskawco! Co?

KLICIŃSKI (*pyszałkowato*).

Chętnie. Wbrew temu, co powiedziały jaskółki, pan, pani i wasz sługa bierzemy się do spółki.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*podając mu rękę*).

Wiwat spółka! Toż wyróżniemy niespodziankę naszym komedyo pisarzom w tym względzie!

MARTA (*klaszcząc w dłonie*).

Ach! jak to dobrze!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Niech sobie pan kochany wyobrazi, że teraz do najkorzystniejszych fachów należy pisanie komedyi. Jak Boga kocham, tak prawda. Znam już kilku autorów w tym względzie, którzy się tym sposobem podreparowali. Gospodarka idzie pod psem..

MARTA.

Z pewnością. Traci się chęć do gospodarowania w takich nieprzyjaznych warunkach; dlatego siedzimy w Warszawie.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z westchnieniem*).

Dyabło to kosztuje w tym względzie, ale przynajmniej człowiek ma spokoju trochę... Na wsi ciągle się martwić i gryźć potrzeba. Deszcz pada, siano zamoknie, słońce pali, to ci tam znowu co wypali w tym względzie. Człowiek się tylko martwi i martwi. Komedyje zaś pisać można zawsze, nie lękając się żadnych zmian atmosferycznych w tym względzie. (*Do Klicińskiego*): Nie mam racji w tym względzie?

KLICIŃSKI (*z przesadą*).

Oczywiście. Ni się orze, ni sieje, a gdy duch natchnienia wieje, człowiek zbiera dukaty i w sławę jest bogaty!

MARTA.

Wiesz, Dyżku, mówiła mi wczoraj Marysia od Stawskich, że oni teraz oboje po całych dniach zamknięci w pokoju siedzą.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*przerzywa ze śmiechem*).

Cóż u kaduka! Miodowe miesiące im się przypomniały w tym względzie!

MARTA.

Ale gdzież tam! oni podobno komedję piszą... Ach, Dyżku, jak ja się boję, żeby oni nas nie uprzedzili.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Marcu! Marteczko! Co ty mówisz? Ten kochany Stawski i jego żona!... Nie bój się, duszko, to nie rywale dla nas. Ja, odkąd wiem, że pan Kliciński przystępuje z nami do spółki, nie boję się nawet Zalewskiego, chociaż to w tym względzie potentat komedyowy.

KLICIŃSKI (*z przesadą*).

Uspokój się pani! Duch twórczości nie w takich ciałach obiera siedlisko. Stawscy nie są nam straszni! (*Patrzy na zegarek*). Czas upływa i południe blisko... Piszmy!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z zachwytem*).

Słyszysz, Marcu? Odrazu rym palnął w tym względzie! (*Porywa Klicińskiego w objęcia*). Niech-że cię uściskam!

KLICIŃSKI (*wydymając wargi*).

Phi! rym! Albo to dla mnie co trudnego? Duch się wzbija w obłoki i wraz rymów potoki leją się z mojej głowy, i wnet rym jest gotowy.

MARTA (*składając ręce*).

Ach! jakiż pan szczęśliwy!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z zazdrością*).

Panu kochanemu Maryę Malczewskiego pisać, Pana Tadeusza pisać, a nie gryzmolić cyfry przy biurku urzędniczym w tym względzie! Oho! Poeta! skończony poeta! Jabyś świat do góry przewrócił, gdybym takie rymy składał.

MARTA (*z entuzjazmem*).

Doprawdy, mąż ma słuszość. Panbyś wszystkich, którzy pisali wiersze, zakasował.

KLICIŃSKI (*z udaną skromnością*).

Komu się w łonie iskra Boża zapali, ten nie dba o okłask, lecz wciąż idzie dalej.

ŻOLEŃZIŃSKI.

Obyś pan tylko jak najprędzej do komedyi doszedł, a my w tym względzie za tobą.

MARTA.

A możebyśmy komedję jaką przeczytali? Zalewskiego naprzykład? Udałoby się może coś zręcznie przejąć...

ŻOLEŃZIŃSKI.

Szkoda czasu. Co głowa, to rozum, moje dziecko!

KLICIŃSKI.

Dobrze powiedziane. Puścił on w świat bardzo piękne rzeczy, tego mu nawet i wróg nie zaprzeczy. Lecz któż nam powie, że i w naszej głowie nie zrodzą się nowe komedye i dramaty? (*Wzdycha*). On już syt sławy i zebrał dukaty.

MARTA (*z przesadą*).

Tak jestem tą komedją zaabsorbowana, że jak najprędzej chciałabym zobaczyć ją na scenie. Upajam się tą myślą. Wiesz, Dyżku? Murawiński długów miał po uszy, a gdy komedye

pisać zaczął, tak mu się poszczęściło, że świetnie teraz stoi. Wyobraź sobie, spotkałam ją wczoraj na Senatorskiej w pluszowej rotundzie, i to mówię ci: plusz jedwabny, prześliczny! To ja, obywatelka przecie jestem, a nie stać mnie na takie zbytki!

ŻOLEŃZIŃSKI.

Bójcież się Boga, to się śliczny grosz zarabia w tym względzie! Machnie oto taki jeden, drugi i dziesiąty komedyorób po papierze i pieniądzu gotowy. Setkę podobno za każdy akt płacą, i słusznie! To jest w tym względzie natchnienie... to jest tego... jakby tu powiedzieć, wysiak mózgu obfitszy, niżeli u ludzi zwyczajnych... To przecież organizm kosztuje... Mózg się pewnie wysusza prędzej, w tym względzie! (*Z namaszczaniem*): Rzecz tedy najważniejsza już ułożona. Piszemy do spółki. Ja w tym względzie... (*namyśla się*), ja — (*z pychą*) ja daję pomysł. (*Patrzy na obecnych*). Cóż wy na to?

MARTA.

Bardzo dobrze!

KLICIŃSKI.

Bardzo pięknie.

ŻOLEŃZIŃSKI (*nadęty*).

Więc ja daję pomysł, pan Kliciński rymy, a moja żona... (*Odwraca się do żony*). Żono, cóż ty nam dajesz?

MARTA (*pompatycznie*).

Ja daję typy!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z zastanowieniem*).

Typy? A na cóż nam, duszeczko, typy?

MARTA (*tonem wyższości*).

Rozmawiałam z żoną jednego aktora, i ona mi mówiła właśnie, bom ją tak nieznacznie wybadywała, że do komedyi potrzebne są typy.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Aha! A no dobrze, to niechże będą i typy w tym względzie!

KLICIŃSKI.

Więc jakież pomysły?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*namysławiając się*).

Zaraz, zaraz, powoli. Tak przecie z rękawa tego... w tym względzie, nie można. (*Chodzi po pokoju*). Zaczniemy od tytułu. Trzebaby coś pikantnego.

MARTA (*melancholijnie*).

»Cierpienia miłości« np. Frapujący tytuł!

KLICIŃSKI (*patrząc na nią znacząco*).

Lepiej »Rozkosze miłości«. Tytuł równie frapujący, a jak muzyka, słodko brzmiący.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Sliczny tytuł! Publiczność się na takie bierze. Przypominam sobie, kiedy to drukowali: »Tajemnice dworu hiszpańskiego«, »Tajemnice dworu madryckiego«, co się to działo! Nie mogły

księgarnie w tym względzie nastarczyć. Cóż dalej?

MARTA.

Trzeba wystawić typy.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Aha! No jakże to, moja duszeczko? W jaki sposób? Powiem wam szczerze, że ja jakoś nie bardzo tego... nie dobrze te typy rozumiem w tym względzie.

MARTA.

Słuchaj-że, Dyżku, muszą przecież na scenie osoby jakieś chodzić. To są właśnie typy!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*niby rozumiejąc*).

Aaa! Teraz rozumiem w tym względzie. Więc w naszej komedyi któż będzie, żono?

MARTA.

Rozmaici i rozmaite. Ja już obmyśliłam. Młody doktor np. kocha się...

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z wybuchem*).

Co? Doktor? Ani myśl o tem! Nie pozwolę takich osobistości tykać. Wszyscy doktorowie mogliby się w tym względzie obrazić. Niechżeby potem choroba w domu — dziękuję!

MARTA.

No, więc niech będzie adwokat.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*j. w.*).

Żono! czyś zmysły postradała? A sprawa

z chłopami o ten kopiec graniczny w Kozich Łapkach? Takżebym się ubrał w tym względzie!

MARTA.

Prawda! To chyba bankier albo hrabia... Ci chyba nie ci już zrobić nie mogą.

ŻOLEDZIŃSKI (*kiwając głową z politowaniem*).

Babski rozum, z przeproszeniem, funta tego... ee.. nie wart. Hrabia (*uderza palcem w czoło*) — przedstawiciel arystokracji, bankier — finansistów, i ty chcesz, żono, żebym ja z nimi zadzierał?

MARTA (*zniechęcona*).

Jak będziesz tak grymasił...

KLICIŃSKI (*ogryzając paznokcie*).

Więc niechaj będzie: on, ona, oni, — to nas zupełnie od gniewu uchroni.

ŻOLEDZIŃSKI (*z radością*).

Kamień mi z serca zdjąłeś; nikt się przynajmniej nie obrazi w tym względzie! No więc! (*Czyta*): Rozkosze miłości, komedia oryginalna w 8-u aktach.

KLICIŃSKI.

Za dużo, za dużo, panie łaskawy! Jak pana poważam!

ŻOLEDZIŃSKI.

Co znowu? Od aktu podobno płacą. Byłoby to własną, rodzoną kieszeń obdzierać...

KLICIŃSKI.

Na początek pięć aktów wystarczy. Uważa pan kochany, mogliby się obrazić na nas kiedy po piórze. Toby tak wyglądało, jakgdybyśmy im chcieli imponować.

ŻOLEDZIŃSKI.

Ha! skoro uważacie w tym względzie...

MARTA (*napuszczona*).

P. Kliciński ma słuszość i kompetencyę.

ŻOLEDZIŃSKI.

Czy piszemy pod pseudonimami?

MARTA.

Na to nie pozwolę. To także! Niktby nie wiedział, że to my!

ŻOLEDZIŃSKI.

I to racya! Ale jakże? napisana przez Żoledzińskiego i Klicińskiego?... Bardzo pięknie! Ale cóż ty na to powiesz, żono? Ty, która dajesz typy, w tym względzie?

KLICIŃSKI.

Płci pięknej zawsze względy się należą.

ŻOLEDZIŃSKI (*zadowolony*).

Oczywiście. Więc żonę umieścimy także na afiszu. Wiesz, Martuchna, te twoje sąsiadki na wsi pożółkną z zazdrości w tym względzie!

MARTA (*napuszczona*).

Zerwę z niemi. To gęsi!

KLICIŃSKI.

Rozpal się, iskro Boża, która plyniesz w łonie, niech z tobą marność wszelka głęboko zatonie. Piszmy, łaskawi państwo!

ŻOLEŃDZIŃSKI (*zacierając ręce*).

Piszmy! Kwestye wstępne załatwione.

KLICIŃSKI.

Prosimy o pomysł. W komedyi musi być teza, czyli... czyli...

ŻOLEŃDZIŃSKI.

Co takiego? Co! pan kochany tak zaraz chcesz wszystko z wysoka... w tym względzie!

KLICIŃSKI.

Czas uchodzi, płyną chwile, myśli moje i westchnienia odbiedz mogą, jak motyle.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*trzymając się za głowę*).

Ba! aż mi w mózgu kręci w tym względzie, tyle mam myśli...

KLICIŃSKI.

Ulżyć mózgowi. Wypuścić myśli, potem papier przed siebie i niech pióro kreśli!

(*Kiwają się nad papierem. Zuzia wchodzi*).

SCENA II.

CIŻ, ZUZIA.

ZUZIA.

Proszę pani...

ŻOLEŃDZIŃSKI (*z gniewem*).

Wynos się do kaduka w tym względzie!...

ZUZIA.

Proszę pani o masło. Kiedyż ja tę pieczeń usmażę?

MARTA (*czyta głośno*):

»On. Gdybyś pani zechciała zajrzeć w głębie duszy...« (*Do Klicińskiego*): Panie Hilary! dalej! dalej!

KLICIŃSKI (*patrząc na nią znacząco*).

Taka miłość gorąca granity pokruszy.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*klaszcząc w ręce*).

Brawo, brawo spółka w tym względzie!

ZUZIA.

Proszę pani o masło.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*gniewnie*).

A idziesz mi ty za drzwi! Cóż, nie widzisz że pani pisze komedye w tym względzie?

ZUZIA (*hardo*).

Już mi kością w gardle te komedye stanęły. Przecie nie usmażę pieczeni bez masła!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*zrywa się i biegnie ku niej*).

To zuchwałe plemię dopiero! Precz w tym względzie! A tylko mi się tu jeszcze raz pokaż!... Ja cię nauczę, co to przerywać natchnienie. To głupi naród dopiero, jak Boga mego kocham!

MARTA (*z grymasem*).

Dyonizy!

ZUZIA (*wzruszając ramionami*).

Sądny dzień u nas nastał. A no, mnie ta wszystko jedno. Podleję mięso wodą, i niech się ta robi, co chce... (*Wychodzi*).

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Marcu, żonuchno, jakże to było? Duszeczek złota, powtórz-no jeszcze w tym względzie!

MARTA (*czyta z przesadą*).

Gdybyś pani zechciała zajrzeć w głębie duszy, taka miłość gorąca granity pokruszy.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z entuzjazmem*).

Dalej, dalej, na Boga! Póki macie natchnienie w tym względzie! Moi złoci!

MARTA (*dłubiąc ołówkiem w zębach*).

Cóż ty myślisz, że to tak łatwo? Niech-że odpocznę!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*do Klicińskiego*).

To może pan kochany? Takeście ślicznie zaczęli...

KLICIŃSKI (*gryząc paznokcie*).

Zaraz, niechże się i pan na co zdobędzie...

ŻOŁĘDZIŃSKI (*zafrasowany*).

Chciałbym w tym względzie, ale to nie tak łatwo. (*Biega po pokoju, wzdycha i mruczy coś pod nosem. Po chwili*): Mam, jak Boga mego kocham, mam!

MARTA (*ciekawie*).

Mów, czytaj, czytaj, Dyziu!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*gestykulując*).

Gdy cię w uścisku trzymam, to mi ręce mdleją, w głowie huczy, w piersi drga, z oczu łzy się leją. (*Oddycha*). Uf! A co w tym względzie!

MARTA (*z zachwytem*).

Cudownie!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*ociera czoło*).

Alem spotniał cały w tym względzie!

KLICIŃSKI.

Natchnienia to owoce! Nim je wyższa siła na świat wydobyła, czoło natchnionego potem operliła. Piszmy dalej!

(*Piszą, Żołędziński, kiwając się, Kliciński, ogryzując paznokcie. Wchodzi Józia*).



SCENA III.

CIŻ, JÓZIA.

JÓZIA.

Plose mamusi...

ŻOŁĘDZIŃSKI (*tupiąc nogą*).

Cicho, smarkata!

MARTA (*obrażona*).

Tylko proszę, nie wymyślaj mi na dzieci, mój Dyonizy! (*Do Józii*). Czego chcesz, Józiu?

JÓZIA (*ośmielona*).

Plose mamusi, Adaś wylał wsišką wodę z miednicy na podłogę.

MARTA (*poruszona*).

A to nicpoń dopiero!

JÓZIA.

A tak! I powiada, że to Wisła plinie... I telaz zdjął buciki i boso po wodzie chodzi...

MARTA.

Dam ja mu Wisłę! Przy takim katarze, a tu w kamienicy ospa panuje... Zaziębi się na pewno. Zawołaj Zuzi, niech mu włoży buciki.

JÓZIA.

I plose mamusi, wsiške liście u kwiatów poobcinał nożyczkami.

MARTA (*zrywając się*).

A to niegodziwiec dopiero! Dam ja mu! (*Chce wyjść. Żołędziński chwytą ją za suknię*).

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Żono! w imieniu sztuki zatrzymuję cię! Dla takiej błahostki poświęcać komedję to barbarzyństwo! Stawska cię uprzedzi w tym względzie...

MARTA (*siadając*).

Jeszcze czego! To ją wygwizdamy. Ja będę pierwsza gwizdała.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*śmiejąc się*).

Ba! kiedy kobiety tego... nie gwizdzą.

KLICIŃSKI (*pisząc*).

Gdy się bawimy w drobiazgi, natchnienie przyśnie na drzazgi.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

I to racya! Ale jak pan kochany rymuje w tym względzie, rozkosz słuchać!

KLICIŃSKI (*poprawiając binokle*).

Gdy się ducha wieszczego w łonie pieści, w każdym słowie boska poezja się mieści.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Marteczko, a gdyby tak dla dodania otuchy temu duchowi wieszczemu przepłukać nieco gardło w tym względzie? Jakże myślicie, moi łaskawi?

KLICIŃSKI.

Bogowie nawet nie gardzili nektarem i ambrozją.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*tryumfując*).

A co? Słyszałaś, żono? A nas poezya i komedya zbliża przecież do bogów w tym względzie. Może masz tam jaką ambrozyjkę? Daj-no, duszeczko! Zaraz myśl jaśniej nam się rozwinie.

MARTA (*podnosząc się*).

Owszem, zaraz będzie.

(*Wychodzi drzwiami z lewej strony. Zuzia wchodzi z prawej*).

SCENA IV.

ŻOŁĘDZIŃSKI, KLICIŃSKI, ZUZIA.

ZUZIA.

Proszę pana, nasz karbowy przyjechał.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*niecierpliwie*).

Niech idzie do dyabła w tym względzie!
(*Pisze*).

ZUZIA (*obrażona*).

Akuratnie dyabli tak zara są na poczekaniu, proszę pana!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z gniewem*).

Milcz w tym względzie!

ZUZIA (*n. s.*).

Jeszcze i na Marcina pomstuje! Tego już nie strzymam. (*Głośno*). E, proszę pana, ja ta za taką służbę dziękuję. Już ze wszyćkiem w głowie się człowiekowi przewróciło. W Kozich Łapkach państwo było grzeczne, nigdy żadne nie wymyślali, a tu Boże zachowaj kuźdego...

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Zwaryowałaś, moja kochana, czy co?

ZUZIA.

Ja ta nie wiem. Możem i zwaryowała bez te ciągle wymysły. Ledwo oczy człowiek otwórzy, ciągiem od onej komedyi państwo wymyśla.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*zdumiony*).

Idyotka jesteś! Któż ci wymyśla w tym względzie?

ZUZIA (*ociera oczy fartuchem*).

A juścik! Przecieżem jeszcze nie ogłuchła. To nawet obraza Boska, proszę pana. (*Placze*).

ŻOŁĘDZIŃSKI (*uspokajając*).

No, nie becz, głupia! Ty się na tem nie rozumiesz. Jak napiszemy tę komedye, o którą się tak obrażasz, to cię do teatru weźmiemy. Będiesz klaskała w łapy, aż ci popuchną w tym względzie.

ZUZIA (*z przestrachem*).

Nie bede, proszę pana, za nic nie bede! Wole pracć, wole kole dzieci i kole dobytku wszelakiego chodzić, żeby ino od tej komedyi z daleka. To czort jakiś musi być, kiedy tak wszycko do góry nogami w domu wywraca.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*śmiejąc się*).

Głupia jesteś w tym względzie. Idź, idź, nie przeszkadzaj! (*Pisze*).

ZUZIA.

A jakże z Marcinem, kiedy gwałtem chce do pana?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*niecierpliwie*).

Skaranie Boskie w tym względzie! Wołaj go! (*Zuzia wychodzi. Do Kłicińskiego*): Wybacz pan kochany, ale jak tu co porządnie napisać? W puch natchnienie rozbija!

(*Marcin wchodzi*).

SCENA V.

Ciż, MARCIN, później MARTA i ZUZIA.

MARCIN (*klaniając się czapką do ziemi*).
Pochwalony Jezus Chrystus!

ŻOŁĘDZIŃSKI.
Na wieki! A co powiesz?

MARCIN (*obejmując go za nogi*).

Bogu chwała, proszę wielmożnego dziedzica, niby nic. Grykę trochę przypaliło na górcie.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*roztargniony*).

Taak? Hmu! Szkoda! Po cóżeś ty przyjechał w tym względzie? Mów, a prędko, bo nie mam czasu.

MARCIN (*klaniając się do ziemi*).

Wiadomo, proszę wielmożnego dziedzica...

ŻOŁĘDZIŃSKI (*niecierpliwie*).

Więc mówże odrazu.

MARCIN.

Kiej ten pieski język, proszę wielmożnego dziedzica, nie może tak prędko wymówić wszyckiego.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Nie marudź, do dyabła!

MARCIN (*żegnając się ukradkiem*).

Z przeproszeniem wielmożnego pana dziedzica, dyabłaby lepiej nie tykać. Już on ta pieski niemało w naszych Kozich Łapkach napsocił.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Cóż, cóż? Gadajże w tym względzie!

MARCIN (*klaniając się do ziemi*).

Ten pieski wół, co to go łońskiego roku wielmożny dziedzic z Zachorzewa przygnał...

ŻOLEŃDZIŃSKI (*ze złością*).

Co? ja przygnałem? Oszalałeś?

MARCIN (*klaniając się*).

To jest niby ja z Walkiem, ale to wszystko jedno!

ŻOLEŃDZIŃSKI.

Dyabła tam wszystko jedno, idyoto!

MARCIN (*żegnając się pobożnie n. s.*).

Te dyabły to tu tak widać po Warsiawie luzem chodzą. Pieski naród dopierój! (*Głośno*): Wielmożny pan dziedzic 80 rubli wtedy za onego wołu zapłacił. Bo to było tak: Wielmożny dziedzic mówi: »Marcin, jedziemy na jarmark do Zachorzewa«. A ja mówię: »Jedziemy, proszę wielmożnego dziedzica!« I pojechaliśmy bez obrazu Boskiej. Wielmożny pan rozkazał i Walka wziąć; wzionem, wedle rozkazu. I rychtyk stworzenia różnego było co niemiara, i gadziny baby doniosły, i sera, masła... Okrutny ci był jarmark!

ŻOLEŃDZIŃSKI (*przerywając*).

A niech cię najjaśniejsze w tym względzie! Po co ty tyle gębą obracasz? Mów, po coś przyjechał?

MARCIN (*drapiąc się w ucho*).

Chciałem wszystko dokumentnie wielmożnemu dziedzicowi wyłożyć...

ŻOLEŃDZIŃSKI (*z pasją*).

Cóż się wreszcie z tym wołem stało?

MARCIN (*klaniając się do ziemi*).

Chwalić Boga nic, proszę wielmożnego dziedzica, tylo pieski zdechl.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*zrywając się*).

Co? co mówisz? To być nie może w tym względzie?

MARCIN.

A ino. Majorek z niego skórę kupił, i podług tej skóry, chciałem się rychtyk wielmożnego dziedzica zapytać, co zrobić, bo nijak pieniędzy oddać nie chce.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*chwytając się za głowę*).

A niech was piekło pochłonie z waszem gospodarstwem w tym względzie! (*Do Klicińskiego*). Najpiękniejszego wołu mi zmarnowali!... Słyszałeś pan?

MARCIN (*klaniając się*).

Z dopustu Boskiego, wielmożny panie dziedzicu.

ŻOLEŃDZIŃSKI.

Z próżniactwa waszego, bałwany! z niedozoru!...

MARCIN (*z głupkowatym uśmiechem*).

Akuratnie pan wójt godoł takuteńko: Żeby — peda — dziedzic wasz doma siedział i gospodarki pilnował, toby pocziwe wolisko było żyło. (*Ociera oczy sukmaną*). Jaki to wół był, to niczem wszystkie woły na świecie! Sto rubli Chaim za niego

chciał dać. Ino, że nie było nijakiej pomocy w onej chorobie, bo ten pieski Walek, jak pojechał do zamawiacza, to tak kobyłę ochwacił, co chyło, chyło nie zdechła. Jak przyjechali, to już ono wolisko kopyta wyciągnęło.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*chwytając się za głowę*).

Otóż to rozkosze wsi! A ludziom się zdaje, że my tam na kwiatkach spoczywamy w tym względzie!

KLICIŃSKI (*ze współczuciem*).

Zaszczyt to niemały gospodarzem być, byle jak najdalej od wsi swojej żyć.

ŻOLEŃDZIŃSKI.

Oczywiście. (*Po chwili z poddaniem się*). No, stało się! Wół zdechł, szkoda wielka, ale jeden akt naszej komedyi powetuje stratę. (*Wchodzi Zuzia i ciągnie za rękaw Marcina*).

ZUZIA.

Marcinie, a przywieźliśta masło i jaja?

MARCIN (*z flegmą*).

Gospodyni kazali pedzieć, co krowiny zapuściły mleko ze szczętem. Ponoś ta Kaśka Matraczanka zamówiła bez złości, bez to, co ją ze dwora wygnali. Pieska była dziewucha! worami mąkę i krupy wynosiła ze spiżarni po nocy. A jakże!

ZUZIA (*załamując ręce*).

O rety! A to ci niegodziwa dopierój! I masła wcale niema?

MARCIN.

A nie! Ino dwanaście funtów, co gospodyni chyło tyło dla swoich familijantów usklała.

ZUZIA (*żywo*).

Co?

MARCIN (*uderzając palcem w usta*).

To pieski język dopierój! Zapowiedziała, coby przed państwem nie gadać. Oddałem je na Ślizkiej...

ZUZIA (*rozgniewana*).

Akurat! Zara pani powiem! (*Wybiega. ŻoleŃdziński chodzi po pokoju, Kliciński pisze*).

ŻOLEŃDZIŃSKI (*do Marcina*).

Daj koniom obrok w tym względzie i zabieraj się przed nocą do domu. Przyjadę wkrótce.

MARCIN (*kłaniając się*).

Proszę wielmożnego dziedzica, to ja temu pieskiemu wójtowi powiem, żeby pieczęcie zdjon...

ŻOLEŃDZIŃSKI.

Jakie pieczęcie?

MARCIN.

A te czerwone. Wcale z niemi paskudnie. Gdzie się ruszyć, pieczęć stoi jak wół, jakby pedała: »Zasie nie rus, bo nie twoje«.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*chwytając go za piersi*).

Gamoniu, osłe patentowany! czemu odrazu

nie gadasz, jak człowiek? Więc wójt w tym względzie zajęcie zrobił?

MARCIN.

A ino nie co, proszę dziedzica. Za podatki się przecież należy. Pieski nie chciał czekać, chciaam mu dokumentnie godo!.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*trzęsąc głową*).

Coście wy tam porobili! (*Tupiąc nogą*). Powyrzucam, wypędzę, jak Boga kocham, nie daruję w tym względzie!

MARCIN (*z płaczem, obejmując go za nogi*).

Proszę jaśnie wielmożnego pana dziedzica, cóżem ja biedny człek winien, że wolisko a to gnaty wyciągnęło? Pieskie, bo pieskie, alem ja zawdyk kole niego, kieby kole dzieciątka małego, chodził.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*rozgniewany*).

Cicho mi z lamentami! Wynoś się i nie pokazuj mi się na oczy.

MARCIN (*chwytając go za nogi*).

Wielmożny panie dziedzicu!... (*Płacze*).

ŻOŁĘDZIŃSKI (*rozgniewany*).

Precz, mówię! (*Marcin wychodzi. We drzwiach z lewej strony staje Marta*).

MARTA.

Dyżku, Dyżku! Coś ty zrobił?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*wzburzony*).

Co takiego?

MARTA.

Ależ to typ, typ właśnie! Wprost z natury wzięty... Bój się Boga, po coś ty go za drzwi wyrzucił? Taki cenny dla komedyi nabytek!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*ożywiony*).

Tak mówisz? Ano, to go wołać, wołać i zaraz panie tego na papier w tym względzie. (*Zbliża się do drzwi*). Marcinie!

MARCIN (*wchodzi*).

Słucham wielmożnego dziedzica.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*słodko*).

Chodź-no tu bliżej. (*Prowadzi go na środek pokoju*).

MARCIN (*przerażony n. s.*).

Okrutnie od serca goda; żeby ino kaj laską przez łeb nie zdzielił! (*Głośno*): Wielmożny panie dziedzicu!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*n. s. do Klicińskiego i Marty*).

Ja go będę w tym względzie tego... a wy go żywcem na papier. (*Do Marcina*). No, mój kochany! Jak tam było z tym wołem to było? Dość, że zdechl w tym względzie. Cóż prawda? (*Klepie Marcina po ramieniu*).

MARCIN (*oglądając się przerażony*).

Juści prawda, wielmożny dziedzicu! (*n. s.*).
Czegój te pieskie ślepiami tak na mnie gałują.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Postanowiłem ten raz ostatni przebaczyć wam.
Ale pilnować się w tym względzie! (*Ogląda się na piszących i uśmiecha*).

MARCIN (*chwytając go za nogi*).

Panie dziedzicu, wielmożny panie dziedzicu!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*dobrotliwie*).

Dobry chłop z ciebie, tylko, uważasz, brak ci oleju w głowie w tym względzie! (*Do żony*).
Duszczo, przepraszam! A gdzież nasza ambrozja?

MARTA (*pisząc*).

Zaraz podadzą. (*Wchodzi Zuzia z butelkami i przekąskami*).

ŻOŁĘDZIŃSKI (*podbiega do stolika*).

Fiu, fiu! Marteczka się wysadziła! Wiśniak jest, śliwowica jest... (*Ogląda butelki i próbuje*).

ZUZIA (*przechodząc koło Marcina n. s.*).

Marcin, rety! A kajżeś ty się na sam środek pokoju wpakował! Ze wszyćkiem mi froterkę buciskami popaćkas!

MARCIN (*mruga na nią, pokazując państwa*).

Kazali! sami tu postawili...

ZUZIA.

A bez co tak?

MARCIN (*przestępując z nogi na nogę*).

Gadali, com do tryjatra zdatny. Słyszałem!

ZUZIA.

O rety! To pewnikiem bez te komedye! Zatraca ci duszę jak nic. Zobaczysz! Chodź mi zara do kuchni! (*Ciągnie go*).

MARCIN (*z powagą*).

Nie bądź głupia! Toć pedam, co kazali.

MARTA (*odwracając się*).

Co tam za hałas?

ZUZIA (*całuje panią w rękę*).

Proszę pani, możeby Marcina do kuchni wziąć.
Mam dwie gęsi zarznąć, toby mi pomógł.

MARTA (*do Klicińskiego*).

Sądzę, że można go uwolnić?

KLICIŃSKI.

O tak! Wyzyskałem go dostatecznie.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*próbując wciąż nalewek*).

Marcin, ruszaj do kuchni! Daj mu tam Zuzia wódki kieliszek. Ale jeden, nie więcej!

MARCIN (*kłaniając się*).

Bóg zapłać wielmożnemu dziedzicowi i dzie-

dziczce. (*Kłania się czapką i mówi do Zuzi n. s.*).
A ten trzeci co za jeden? Cięgiem mnie oglądał
i gryzmolił cięgiem po papierze, aże skrzypiało.

ZUZIA (*n. s.*).

Tyż od tryjatra! Chodź do kuchni, to ci dopierój dokumentnie rozpowiem. (*Wychodzą*).

KLICIŃSKI (*składając pióro*).

Trzeba odpocząć i myśl odświeżyć.

MARTA (*do męża*).

Dyżku, wstydź-że się! Kosztujesz, próbujesz,
a o gościu zapominasz.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*jakając się*).

Zapominam? A toż co znowu! (*Chwyta Klicińskiego w objęcia*). Autorze, poeto, dźwignio komedy polskiej, wskrzesicielu sztuki upadającej. Twoje zdrowie piję w tym względzie. (*Bierze kieliszek*). Oby nam nieba dały!... (*Pije*).

KLICIŃSKI (*trzymając kieliszek*).

Laurowy wieniec chwały!... (*Pije*).

ŻOLEŃDZIŃSKI (*nalewając drugi*).

Mamone i oklaski...

KLICIŃSKI (*pijąc*).

Zrodzonego talentu coraz nowe blaski!...

MARTA (*posuwając przekąski*).

Może pan kanapkę pozwoli? Tę z kawiozem,

z szynką... (*Słychać krzyk. Zuzia wpada*). Co to?
co się stało?

ZUZIA.

Proszę pana!

ŻOLEŃDZIŃSKI.

Co się tam stało?

ZUZIA.

A to się Majorek z Marcinem pobili.

ŻOLEŃDZIŃSKI i MARTA (*razem*).

Co?

ZUZIA (*rozgorączkowana*).

A ino! Majorek zabrał się do Warszawy
z Marcinem, stał w kuchni, akuratnie, kiej Marcin
gadał panu o tej skórze z wołu, co to nie
chciał płacić.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*niecierpliwie*).

Więc cóż z tego?

ZUZIA (*wygrazając pięścią ku drzwiom*).

Musi Żyd bestya pode drzwiami stojał i wysłuchał, bo jak ino Marcin wszedł, zara mu do gęby skoczył.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*z humorem*).

Wołaj ich do mnie. (*Do żony i Klicińskiego*).
Będą typy, co?

MARTA.

Doskonałe.

KOMEDIA W KOMEDYI.

(Wchodzi pachciarz Majorek i karbowy Marcin. Majorek gnie się w ukłonach, Marcin trzyma się za twarz).

SCENA VI.

CIŻ, MAJOREK, MARCIN.

ŻOŁĘDZIŃSKI *(z udanym gniewem).*

Cóż to tam za hałasy wyprawiacie w tym względzie? Do kozy was pośle, bałwany!

MAJOREK *(kłaniając się nisko).*

Z psieproseniem jasnego dziedzyc, cały gwałt od ten pan karbowy wiszedł.

ŻOŁĘDZIŃSKI *(śmiejąc się).*

Kiedys to ty mu podobno do oczu skoczył w tym względzie!

MAJOREK.

Ja jemu do oczów wiskoczuł? Wus ist? Co to takiego jest? Kto jasnemu dziedzyc wymyślał takie głupstwo? *(Kłaniając się nisko).* Czy ja nie wiem, że wun jasnego dziedzyc sługa jest? Wun karbowy, wun taki wielgi urzędnik! Aj waj! *(Omkcze wargami).*

MARCIN *(ze wściekłością, pokazując mu pięść).*

Skocyłeś, pieski! Już ja tobie zapłacę! Mało coś mi ślepie nie wybił.

MAJOREK *(nawpół z płaczem).*

Wusydues? Czy jasny dziedzyc jemu wierzy? Wun kłamiec jest, wun biedny Żidek zgubić chce, i z żonem i z dzieciów... Wus ist? Ślepiów wun przecież w gębie ma, a czy gęba z psieproseniem jasny dziedzyc do skikania jest? Ny, co to jest? Rozbój, gwałt!

MARTA *(do Klicińskiego).*

Pyszny okaz!

KLICIŃSKI.

Wspaniały!

ŻOŁĘDZIŃSKI *(n. s. do żony i Klicińskiego).*

Bójcież się Boga! przecież ja ich tak długo nie będę trzymał w tym względzie. Piszcie!

MARTA.

Dobrze, dobrze! *(Zabierają się do pisania).*

ŻOŁĘDZIŃSKI *(do Majorka).*

Słuchajno, Majorek, skoroś skórę z wołu zdarł, to płac za nią w tym względzie. Ile dajesz?

MAJOREK.

Ny, co ja mam dać? Ja nic nie daję z psieproseniem jasny dziedzyc.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Jakto? przecieżeś skórę wziął w tym względzie? Zapomniałeś już?

MAJOREK.

Dlaczego ja potrzebowałem zapomnieć? Wół, z psieproseniem jasny dziedzic, paskudztwo był i na paskudne chorobę umarł. Niech jemu będzie na zdrowie, ale wun i paskudne skórę miał, nawet nie pasuje, cobum ja przy jasne dziedzicze mówił o takie rzecz. (*Wstrząsa się*). Aj waj! jaki to to był brzydki wul...

MARCIN (*mściwie*).

Nie lżyj, Żydzie! Sądny dzień niedaleko! ino patrzeć, jak cię dyabeł na plecach poniesie.

MAJOREK (*usuwając się z przestrichem*).

Nu, wus ist? Co pan karbowy takich brzydkich rzeczów wigaduje! Za co mnie mają na plecach nieszcz? Czi to ja dworska pszenica, co ją pan karbowy u swojego szwagier siał... A waj, rarytne pszenica! Jasny dziedzic takie fajne pszenice nie ma!

MARCIN (*daje mu kulaka w bok, n. s.*).

Milcz, Żydzie, bo jak lunę...

ŻOŁĘDZIŃSKI.

O jakiej ty pszenicy gadasz w tym względzie?

MARCIN (*nadrabiając minę*).

Proszę wielmożnego dziedzica, to tak bez złości wątroba gada.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*do Majorka*).

No, za skórę musisz zapłacić w tym względzie

MARCIN (*ucieszony*).

Bokiem ci ten wół wylezie!

MAJOREK (*kłaniając się do ziemi*).

Jasny dziedzic sobie kpi z biedny Żidek, ot co jest? Za co ja miałbym płacić? Takie skóry toby nawet jej darmo nikt nie chciał. Owa! Majorek głupi, Majorek nie wie, co się we dworze dzeje, ani w stajni, ani w oborze! I ten cielak od żółtej krowy, co go zakopali w sadzie, niech jemu będzie na zdrowie, i tę siwą kobyłę, co jej nogi potrzaskali, i ten piękny groch, co jemu na jarmarku sprzedali. Fajny groch! Złoty groch! Jasny dziedzic musi po 10 rublów za korzec wzion?...

MARCIN (*przerażony n. s.*).

A bodaj ci język skrzył, pieski Żydzie!

MARTA (*do męża*).

Ślicznych rzeczy się dowiadujesz...

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Dam ja mu! Niech-no komedję skończę. Cóż? skończyliście? Już mi te twoje typy, żono, kością w gardło stoja.

MARTA.

To dla dobra naszej komedji, Dyżku!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*do Żyda surowo*).

Nie lgałeś, Żydzie?

MAJOREK (*usuwając się od Marcina*).

Auf meine munes, jasny dziedzycu!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Ruszajże do domu w tym względzie i żadnych mi hałasów w kuchni nie robić! Szanuj Marcinową gębę, to cię zabierze do domu.

MARCIN.

Ze skóry psiawiareę obedrę za jego łgarstwo!

MAJOREK (*z przest్రachem*).

Niech wun wrogi moje wozi, jasny dziedzycu! Ja jemu pary z gębę nie będę puszczyć. (*Kłania się*). Upadam z nogiem jaśnie państwu. Upadam z nogiem.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*do Marcina*).

Cóż stoisz, gamoniu? Wynoś się do kuchni. Już ja wam wszystkim podziękuję, jak przyjadę w tym względzie!

MARCIN.

Proszę wielmożnego pana, tu inakszej kalkulacyi niema, ino o tę skórę.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Nie zawracaj mi głowy. Za drzwi! (*Wychodzi, kłaniając się*). *Marcin grozi pięścią Żydowi*.

MARTA.

Tylko ty się, Dyżku, nie przejmuj zbytecznie. Komedya nam to wszystko wynagrodzi.

KLICIŃSKI (*objadając paznokcie*).

To dziecię ducha naszego będzie nam droższe dlatego.

MARTA.

Ślicznie powiedziane. A ty, Dyżku, skoroś się zdecydował pracować dla sztuki, zostaw Kozie Łapki na drugim planie.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*uspokojony*).

Masz słuszność, Marteczko. Pisać, to pisać! Jak Bóg dopomoże i wydamy na świat ze sto tomów komedyi i dramatów, to wtedy do odrestaurowania Kozich Łapek się zabiorę. (*Nalewa wino*). Panie Hilary, dla kurażu! Winko, delicye!

KLICIŃSKI (*z uznaniem*).

Doskonałe. Niesłuchanie proces myśli upraszcza.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

A tak, tak! Zaraz się tego... jaśniej patrzy. Marteczka tego nie rozumie.

MARTA.

Lękam się, że ci się wkrótce ciemniej zrobi. Musimy dwa akty napisać dzisiaj.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z fantazją*).

To napiszemy. Ja jestem gotów w tym względzie. (*Zaczyna pisać. Słuchać dzwonek. Wchodzi Zuzia*).

SCENA VII.

CIŻ, ZUZIA.

ZUZIA (*z twarzą rozpromienioną*).

Państwo Lipienieccy, proszę pani. Boże! jakem się ucieszyła.

MARTA (*zdumiona*).

Przyśniło ci się chyba!

ZUZIA (*żywo*).

A juścik! bo ja to ich niby nie znam?

MARTA (*z niechęcią*).

Cóż zrobimy, Dyonizy?

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Hmu! Przyjąć trzeba, ale na obiad nie proś.

MARTA.

Chyba. (*Do Zuzi*). Proś! (*Zuzia wychodzi*).

SCENA VIII.

CIŻ, LIPIENIECCY, KAZIA.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*biegnąc ku nim*).

Witamy, witamy!

MARTA (*całując Lipienieckie*).

Jak się panie miewają?

LIPIENIECKA (*serdecznie*).

Stęskniliśmy się.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*do Lipienieckiego*).

Warszawka ciągnie...

MARTA (*wskazując Klicińskiego*).

Pozwolą państwo: pan Kliciński!

KLICIŃSKI (*napuszony*).

Bardzo mi przyjemnie! (*Kłania się kilkakrotnie*).

ŻOŁĘDZIŃSKI (*przedstawiając*).

Autor, poezyopisarz, komedyopisarz, dramatopisarz, proszę państwa. Rymuje, jak Mickiewicz. Złotoustym powinien się nazywać.

KLICIŃSKI (*z udaną skromnością*).

Zbyt wiele pochwał i uznania. (*Do pań z ukłonem*). Wierzajcie panie, że wasz sługa niegodny nie zasłużył na nie.

LIPIENIECKI (*trzęsąc mu rękę w uścisku*).

Bardzo* mi przyjemnie, bardzo, poznać tego... uhum!

KLICIŃSKI (*obrażony nieco*).

Kliciński się nazywam!

LIPIENIECKI.

Toż słyszałem, kochanku! Nie pomnę tylko, czym cię w Niesieckim spotkał. Zda mi się, że nie!

KLICIŃSKI (*poprawiając binokle*).
Nie znam Niesieckiego. Któż to taki?

LIPIENIECKA (*do męża*).
Ludeczku, Ludusiu!

LIPIENIECKI.

Wiem, już wiem, moja panno, ale cóż w tem złego? (*Do Klicińskiego*). Lubię wiedzieć, panie kochany, co, skąd, gdzie kto rodzi? To już taka amatorska słabostka! Szlachtę znam na palcach, kochanku.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Siadajcie, łaskawi sąsiedzi! Cóż tam na wsi? Urodzaje podobno piękne?

LIPIENIECKI.

A ładne! Że też to sąsiad tak się przylepił do tego warszawskiego bruku, aż dziwno! Z wierzchu się świeci ten Syreni gródek, to prawda, ale wewnątrz wcale brudny i nie pięknie pachnie. Bodaj to nasze łąki, nasze pola, nasze lasy, żywicą pachnące! A przytem i gospodarstwa szkoda: okradanie samego siebie, nic więcej! W Kozich Łapkach — Sodoma!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*wydymając wargę*).

Kto ma wyższe cele przed sobą w tym względzie...

LIPIENIECKI (*zdziwiony*).

No, co takiego? Jakie cele? Dyplomata, czy ministrem chcecie zostać?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*napuszczony*).
Trudniejsze podjąłem zadanie.

LIPIENIECKI (*żywo*).
Bójcież się Boga, co to takiego?

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Pomówimy o tem! A teraz naleweczki! Bardzo proszę! Marciu, duszeczko! (*Nalewa kieliszek*).

KLICIŃSKI (*patrząc na Kazię*).

Ciekawym, czy to wiejskie gąsię umie mówić... Trzeba ją rozruszać. (*Przysuwa się z krzesłem i głośno mówi*). Czy pani lubi wieś?

KAZIA (*z uczuciem*).

Bardzo!

KLICIŃSKI (*z przesadą*).
I naturę?

KAZIA (*tłumiąc śmiech*).
Tak, panie!

KLICIŃSKI (*j. w.*).

To bardzo obrazowe! Te białe gęsi na zielonem tle trawników, małe kurczęta i napuszone indy!

KAZIA (*ciszej*).

Nieskończenie ludzi przypominające.

KLICIŃSKI.

Co takiego, pani? Nie dosłyszałem.

KAZIA.

Nic! Przypomniał mi pan ptaki, którymi się zachwycałam najwięcej!

KLICIŃSKI (*z ironicznym uśmiechem*).

Jakże pani zazdrościsz tych cudów natury! (*N. s.*). Niebotyczna gęś! (*Głośno*). Wieś ma powaby nieskończone!

KAZIA (*dusząc się od śmiechu*).

Istotnie, wieś wogóle, a nasza wioseczka w szczególności, bardzo wiele ma powabów.

KLICIŃSKI (*objadając paznokcie*).

Sąsiedztwa przyjemne, obfitość młodzieży!...

KAZIA.

Sąsiedztw mamy niewiele, co do młodzieży...

KLICIŃSKI (*napuszczony*).

O pojmuje! Parodya warszawskiej!

KAZIA (*uśmiechając się*).

Pan się myli! Młodzież wiejska, niestety! zupełnie do warszawskiej podobna! Ta sama abnegacya, rozleniwienie, miękkość bawełniana, pozowanie, wmówiony gwałtem pesymizm, wstręt do pracy i brak...

KLICIŃSKI (*obrażony*).

Czegóż jeszcze, łaskawa pani?

KAZIA (*z determinacją*).

Brak zdrowych poglądów.

LIPIENIECKA (*przestraszona*).

Kaziu! Pan się gotów obrazić!

KLICIŃSKI (*napuszczony*).

Obrazić? Gdy mówią piękne usta, nigdyby mi myśl pusta nie przyszła do głowy. Zawsze słuchać i wielbić kobiety gotowy.

KAZIA.

Wistocie, niesprawiedliwa jestem! Żaden z naszych sąsiadów na wsi wierszy składać nie umie.

KLICIŃSKI (*z powagą*).

Uprzywilejowanym jeno otwarta skarbnica twórczości; szczęśny ten, co mu w piersiach duch natchnienia gości!

KAZIA (*z przejęciem*).

O, zapewne!

KLICIŃSKI (*udobruchany*).

Cóż pani na wsi robi?

KAZIA (*jękając się*).

Co ja robię? Sama nie wiem, doprawdy!

KLICIŃSKI.

Wieś działa na mnie usypiająco. To też, ilekroć jestem na wsi...

KAZIA (*podchwytyjąc*).

Śpi pan!

KLICIŃSKI (*poważnie*).

Śpię! Morfeusz wyjątkowo tam dla mnie łaskawy!

KAZIA (*figlarnie*).

To tak, jak na mnie. Gdyby nie to, że te dni nieznośnie długie na wsi przesypiać można, nie wytrzymałabym!

LIPIENIECKA (*upominająco*).

Kaziu! (*Podchodzi do córki*). Nie spytałaś się dotąd o swoją faworytkę Józię?

KAZIA.

Ale wciąż się oglądam, czy nie wybiegnie na nasze powitanie, mateczko! (*Rozmawia z Martą*).

LIPIENIECKI (*do Żołędzińskiego*).

Mój sąsiedzie kochany, czy to wy nie myślicie wrócić na wieś na żniwa?

ŻOŁĘDZIŃSKI.

A nie!

LIPIENIECCY (*zdumieni*).

Czy być może?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z pychą*).

Tak, tak! Powiedziałem przecie sąsiadowi: wyższe cele, wyższe aspiracye duchowe, praca dla ogółu w tym względzie!...

LIPIENIECKI.

Fiu, fiu! Słowa szumne słyszę, ale dalibóg,

nic nie rozumiem. Sąsiad tu innym językiem mówisz.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*zadowolony*).

Ba! Wiele rzeczy się zmieniło w tym względzie! Ja oto, żona moja i pan Kliciński w tym względzie poświęciliśmy się dla podniesienia sztuki dramatycznej. Piszemy komedję!

LIPIENIECKI (*otwierając usta, zdumiony*).

Sąsiad pisze komedję?

MARTA (*z pychą*).

Pierwszy akt już gotów!

LIPIENIECKI (*kręcąc głową*).

No, no! Dobrze, że to moje rodzone uszy słyszały... Magduni mojej nawetbym nie uwierzył. I cóż to z tego wyniknie?

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Sława i dukaty!

LIPIENIECKI (*śmiejąc się*).

Za górami! No, żeby ci się w Warszawie taki bzik urodził, sąsiedzie, i to w twoich latach!... Słyszałaś, Magduniu?

LIPIENIECKA.

Słyszałam, Ludeczku! Skoro jest powołanie...

LIPIENIECKI (*zirytowany*).

Co mi tam opowiadasz, Magduniu! Czyste drwiny! Sąsiad chyba żartuje. Gospodarstwo mu

niszczą, a on, panie święty, komedye będzie pisał... Wolna wola! Ale mi Kozich Łapek szkoda! Nie daj, Boże, żeby ci tylko, sąsiedzie, ten twój karbowy *et consortes* dramatu albo tragedyi nie napisali... Obyś nie beczał na końcu i dzieci twoje nie płakały!

KAZIA (*przymilając się ojcu*).

Niech się tatko nie unosi...

LIPIENIECKA.

Mój Ludeczku!

MARTA (*obrażona*).

Mój mąż jest pełnoletni...

LIPIENIECKI (*gorąco*).

Tem gorzej dla niego!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*skonfundowany*).

Cóż sąsiad tak się czarno na tę komedye zapatrujesz? Zalewski pisał i pisze, tylu innych pisze...

LIPIENIECKI (*biorąc się za boki*).

Cha, cha, cha! Sąsiadowi się zachciało Zalewskim zostać? Szczyt zarozumienia, jak moją Magdunię kocham! Dobrym komedyopisarzem trzeba się urodzić, trzeba czuć w sobie tę iskrę daru Bożego, mieć powołanie...

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Pan Kliciński twierdzi, że iskrę Bożą posiadamy wszyscy troje w tym względzie...

LIPIENIECKI (*śmiejąc się*).

Kto? Pan Kliciński? To ten pan, co Niesieckiego nie zna? E! za młody, mój sąsiedzie! (*Do Klicińskiego*). Daruj pan staremu, ale przywykłem prawdę mówić.

KLICIŃSKI (*zakładając binokle*).

Pan Dobrodziej bardzo wesół...

LIPIENIECKI.

Gdzie tam! Serce we mnie płacze. Żal mi sąsiada i sąsiadki, a najwięcej tych małych robaków: Józ i Adasia. Rodzice będą po teatrach okłasków szukali, a dzieci i Kozie Łapki... (*Marcha desperacko ręką*). Otóż to logika! Śmierci bym się rychlej spodziewał...

MARTA (*wzburzona*).

Sąsiad w gorączce o grzeczności zapomina...

LIPIENIECKI (*całując ją w rękę*).

Z całej duszy o przebaczenie proszę. (*Z rozrzewnieniem*). Myśmy umyślnie do Warszawy przyjechali, aby wam powiedzieć, że Kozie Łapki dłużej bez pana i bez pani obejść się nie mogą. Klnę się honorem: bezprawia się tam dzieją!

MARTA (*niechętnie*).

Dobrze już, dobrze! Wystawimy komedye i wrócimy na wieś. Wszystko się pogodzi.

LIPIENIECKI (*kiwając głową*).

Byle nie za późno! Ostrzegałem, prosiłem.. Umyślnie po to przyjechaliśmy!

LIPIENIECKA (*do męża*).

Czas nam odejść, Ludeczku! Bystrzanieccy mają przyjść do hotelu. Pożegnajmy państwa! (*Całuje Martę*). Więc nie wiadomo wcale, kiedy się zobaczymy, kochana pani? Bardzo nam tęskno... Takie blizkie sąsiedztwo... Dobrze nam razem było...

LIPIENIECKI.

Moje uszanowanie pani dobrodziejce. Raz jeszcze przepraszam! Możem co rzekł niepotrzebnie... Bóg widzi, z serca mówię... Nie chcecie państwo słuchać, to i bądźcie zdrowi!

(*Żegnają się, całują. Lipienieccy wychodzą*).

SCENA IX.

MARTA, ŻOŁĘDZIŃSKI, KLICIŃSKI.

MARTA (*zmęczona*).

A to wizyta! Galerya impertynentów. Dziwię ci się, mój Dyonizy, żeś pozwolił temu nudziarzowi tyle mówić.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

No, jakże! U siebie w domu nie mogłem być niegrzecznym. (*Ciszej*). Chcę od niego na podatki pożyczyć.

KLICIŃSKI (*z ironią*).

Zazdrość ich piecze. To ludzie prości!

MARTA.

Oczywiście.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*nalewając kieliszki*).

Panie Hilary! trzebaby znów natchnienie przywołać. (*Piją*).

MARTA (*chwytając pióro*).

Piszmy! Jeden akt chociaż wykończyć dziś trzeba. (*Pisze. Żołędziński chodzi zafrasowany*).

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Wiesz, żono, nie wiem, czy ja teraz z mojej głowy co wycisnę w tym względzie! Lipieniecki tak mię rozstroił... Istny kruk!

MARTA.

Nie zważaj na niego. (*Pisze*).

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Ale ba! Gdyby nie to, że o Kozie Łapki chodzi... Słyszałaś przecie: kradną, niszczą, marnują.

MARTA (*niechętnie*).

Nie przeszkadzaj, Dyżku!

KLICIŃSKI (*czytając głośno, gestykuluje*).

Cały gmach złudzeń w gruzy się wali, a serce ogień namiętności pali. (*Z okrzykiem*). Śmierci, o śmierci!

MARTA (*trącając męża*).

Słyszysz? Czuję dreszcze!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z podziwem*).

Hmu, hmu! I mnie mróz po kościach przeszedł. (*Do Klicińskiego*). Ale kochany panie Hilary, ja przecie w swoim pomysle nie uśmierciłem nikogo w tym względzie!..

KLICIŃSKI (*z fanfaronadą*).

Niech się pan próżno nie trwoży. Dramat z komedya, smutek z radością w piękną całość się złoży.

MARTA (*z dumą*).

I mnie niejedna scena udała się ładnie.

KLICIŃSKI.

Gdzie tyle zdolności, cóż dziwnego, że praca nasza idzie składnie!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z politowaniem*).

A ten Lipieniecki pocziwy podejrzewał, czy my, panie dobrodzieju, iskrę Bożą mamy w tym względzie...

KLICIŃSKI (*mściwie*).

Arogant, idyota! Brak mu idei wyższych, technień wieszczych i myśli najczystszych.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*nieco dotknięty*).

Oczywiście, że nie filozof, ale człowiek z kośćcami pocziwy. Nie każdemu, jak nam np. (*puka palcami w czoło*) zjawiają się tutaj, panie dobrodzieju, jakies... jakby to określić... jakies mikroby twórczości w tym względzie!

MARTA.

Dyżku, co ty wygadujesz? Mikroby?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z pychą*).

Marteczka nieuważnie gazety czytuje. Nie słyszałaś o mikrobach? Wszędzie się mieszczą, rozmaite kombinacje wywołują...

MARTA (*niechętnie*).

Dobrze już, dobrze. Pisz-no lepiej!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Ba! Pomysł napisałem, projekt ułożyłem i byłbym rymował dalej, ale Lipieniecki wszystko zepsuł. Wiesz, Marciu, jabym może pojechał do Kozich Łapek... Komedia niech poczeka.

MARTA (*oburzona*).

Żartujesz! Trzeba ją pierwej wystawić!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*bierze butelkę*).

Tak myślisz? Ha! muszę zalać robaka, bo gryzie. (*Ogląda butelkę pod światło n. s.*). Hmu, jak to Marteczka ściśle chowała przede mną te ambrozye, czy nektary w tym względzie! Pokazuje się, że nawet najpocziwsza żona lubi oto tajemnicę przed mężem. O rodzonym wiśniaku nie wiedziałem. Popłóczki mi jakies na pestkach dawała, i gdyby nie komedia!... (*Podnosi kieliszek i mówi głośno*). Na zdrowie naszej komedyi, państwo! (*Pije*).

MARTA.

E, Dyżku, już ci się język płacze...

ŻOLEŃDZIŃSKI (*trącając kieliszek z Klicińskim*).

Dla rozbudzenia natchnienia w tym względzie!

KLICIŃSKI (*kładąc pióro*).

Bene! Pierwszy akt skończony!

ŻOLEŃDZIŃSKI (*ucieszony*).

Co? Zbawco, geniuszu, a kiedyżeś ty go z móżgownicy wytrzasnął? To majster w tym względzie!

KLICIŃSKI (*skromnie*).

Poświęciwszy się pisaniu *con amore*, zawsze się coś wymyśli, gdy potrzeba w porę. Zresztą nie sam tworzyłem. Wiele tu jest myśli, które wspólnie ze mną piękna rączka pani Marty kreśli.

MARTA (*skromnie*).

Lwia część panu jednakże przypada w udziale.

KLICIŃSKI (*z ukłonem*).

Pamiętać proszę, że się tem nie chwale.

(*Wchodzi Zuzia*).

SCENA X.

CIŻ, ZUZIA, później WOŹNY.

ZUZIA (*do Klicińskiego*).

Woźny z biura przyszedł do pana.

KLICIŃSKI (*zrywając się*).

Przepraszam, muszę pójść.

MARTA.

Niech się pan nie fatyguje. (*Do Zuzi*). Wołaj go! (*Zuzia wychodzi, wchodzi woźny*).

KLICIŃSKI.

Co Wroński powie?

WOŹNY (*kłaniając się*).

Pan Małkowski prosi o kluczyki od biurka, bo tam są akta zamknięte.

KLICIŃSKI.

Prawda! Zapomniałem! (*Podaje mu klucze*).

WOŹNY (*poufnie*).

Strach, proszę pana, jaka tam awantura była! Pan Naczelnik przyszedł, woła o papiery — papierów niema. Pyta o pana — pana niema. Chce kluczy — też niema. Tak krzyczał, aż się okna trzęsły! Dopiero pan Małkowski wpadł na koncept i skreślił wszystko!

KLICIŃSKI.

Cóż powiedział?

WOŹNY.

Że pan załb poszedł wyrwać...

KLICIŃSKI (*niespokojnie*).

A naczelnik cóż na to?

WOŹNY.

Okrutnie był zły. «On — mówi — za często te zęby wyrывa. Zeby mu one tylko posady nie wyrwały!»

ŻOŁĘDZIŃSKI.

A to arogant jakiś w tym względzie!

KLICIŃSKI.

O, znana sztuka! (*Do woźnego*). Niech Wroński powie panu Małkowskiemu, że ja jutro wpadnę.

WOŹNY (*klaniając się*).

Słucham pana! (*Chce odejść, Żołędziński go łapie*).

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Hola, hola! Zaczekaj-no jegomość. Fatygowałeś nogi tak daleko, niechże choć podniebienie na tem zyska w tym względzie! (*Podaje mu kieliszek*).

WOŹNY (*klaniając się*).

Pokornie dziękuję. Nie pijam nigdy!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*zdumiony*).

Coo? Kpisz, kochanku, w tym względzie!

WOŹNY.

Gdzieżbym śmiał! Prawdę mówię: nie piję!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*j. w.*).

Wiśniaka nie pijesz? Może i śliwowicy nie

pijesz, i pomarańczówki, i kminkówki, i jarzębówki, i zielonej?

WOŹNY.

Nie, proszę pana.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*trącając żonę*).

Słyszalas, Marteczko? (*Ciszej*). Buch go na papier! To jest dopiero prawdziwy typ w tym względzie!

MARTA (*z niechęcią*).

Czego się tak zapalasz?

ŻOŁĘDZIŃSKI (*podchmielony*).

Unikat, żono! (*Do woźnego*). Mój panie... panie Gołębski, czy Sroczyński, bo już nie pomnę, jaki to ptak pana rodzi w tym względzie?

WOŹNY.

Wroński, do usług.

ŻOŁĘDZIŃSKI (*śmiejąc się*).

Aha! Wrona! To idyotka dopiero! Musiała nigdy wiśniaka nie próbować.

MARTA (*rozgniewana*).

Mężu, Dyonizy!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Co duszeczeko? Dziwoląg panie tego w tym względzie. Pożegna oto, panie tego ten świat i wiedzieć nawet nie będzie, co było na nim najlepszego! (*Kiwa głową*). Wroński się nazywa?

Hmu! Zawsze mówiłem, że to najgłupsze ptaki w tym względzie i dlatego wszystkie co do jednej wystrzelałem w Kozich Łapkach.

KLICIŃSKI (*dusząc się od śmiechu*).

Niech Wroński pośpieszy się i klucze odda panu Małkowskiemu. (*Woźny kłania się i wychodzi*).

MARTA (*podrażniona*).

Mój Dyziu, jakiś ty nietaktowny!

ŻOŁĘDZIŃSKI (*z humorem*).

Eeee! to ci się tylko tak wydaje, duszeczko. (*Do Klicińskiego*). Poeto, komedyorobie, możemy w tym względzie... dla kurażu, dla natchonieeeniaa... Coooo? (*Pokazuje kieliszki*). Poo kieliszku?

MARTA (*podbiega i zasłania sobą stół*).

Nie pozwolę! Zamiast pisać komedye, to ty...

ŻOŁĘDZIŃSKI (*całując ją*).

No, to będę piisał... Cóż wieelkieego? (*Siada, bierze pióro. Po chwili, kiwając się, zasypia*).

MARTA (*do Klicińskiego*).

Dyzio usnął. Na wsi przyzwyczajony był spać o tej porze.

KLICIŃSKI.

Zdobyliśmy nareszcie upragnioną samotności chwilę. Niech zasypia spokojnie, czas nam zej-

dzie mile. (*Przysuwa się z krzesłem do Marty*). Pani Marto! Najdroższa!

MARTA (*zasłaniając twarz*).

Panie Hilary! co to znaczy?

KLICIŃSKI (*z przesadą*).

Poezya otwarła nam do raju wrota i teraz cudny wieniec z uczuć naszych mota.

MARTA (*zaniepokojona*).

Czy istotnie to poezyi siła?

KLICIŃSKI (*czule*).

Która nam na usta wyznanie dobyła?

MARTA (*naiwnie*).

To dziwne! Na wsi był pan u nas kilkakrotnie i nigdy mi na myśl nawet nie przyszło...

KLICIŃSKI (*biorąc jej rękę*).

Śliczna rączka i takie śliczne rzeczy pisze, że dusze śmiertelników do marzeń kołysze.

MARTA (*usuwając się, obrażona*).

Panie Hilary?

KLICIŃSKI (*z afektacją*).

O pani! Błogosławiona niech będzie komedia, błogosławione dramaty i cała literatura wogóle, gdy w przepiękne Twe lica patrzeć pozwala czule! (*Kłęka przed Martą, ciągnąc za sobą serwetę i kałamarz, który spada z łoskotem i oblewa suknię*

Marty. Żołędziński zbudzony hałasem, zrywa się i spostrzega klęczącego przed żoną Kłicińskiego).

ŻOŁĘDZIŃSKI *(stając przed nimi groźnie).*

Co to jest? Co to znaczy? Niegodny zdrajco i zdrajczyń!

KLICIŃSKI *(swobodnie).*

Tylko bez epitetów. Niech pan próżnego hałasu nie czyni. *(Podnosi się swolna).*

ŻOŁĘDZIŃSKI *(z gniewem).*

Śmiesz zaprzeczać? Widziałem!

MARTA *(składając ręce błagalnie).*

Dyziu, jam niewinna!

KLICIŃSKI *(z fantazją).*

Więc cóż pan widział? W tekście tak opiewa, że on się jej oświadcza, a ona się gniewa. Mieliśmy spróbować. *(Objada paznokcie).*

ŻOŁĘDZIŃSKI *(z wściekłością).*

Otóż to! Próbować się panu zachciało w tym względzie!

KLICIŃSKI *(j. w.).*

To pan już zapomniałeś, że dzieło tworzymy? że pan dajesz pomysły, a ja daję rymy? Że małżonka pańska, która typy daje, tym samym i współniczką komedyi się staje?

ŻOŁĘDZIŃSKI *(j. w.).*

Nie chcę takich współek w tym względzie.

Tam, w przedpokoju, z Zuzią rób pan sobie próby w tym względzie!

MARTA *(uspokajająco).*

Ofiarowałeś się przecie pracować dla piśmienictwa krajowego, a drobnostki cię drażnią.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Ty mi nauk nie dawaj w tym względzie!
(Słychać płacz dziecinnny. Wchodzi Józia, trzymając w ręce obcięty warkoczyk i płucze).

SCENA XI.

CIŻ, JÓZIA, później ZUZIA.

MARTA *(z niepokojem).*

Co się tam stało?

JÓZIA *(pokazując włosy).*

Mamo, mamo, cały warkocik mi Adaś obciął!
(Płacze).

MARTA *(z osłupieniem).*

Co? *(Spostrzega włosy i chwytą się za głowę).*
Boże! Cóż ten Adaś zrobił?

ŻOŁĘDZIŃSKI.

A to się chłopak spisał!...

MARTA *(ze złością).*

Ach, ta Zuzia, ta Zuzia! *(Dzwoni, wbiega Zuzia).*

ZUZIA.

Słucham pani!

MARTA (*pokazując warkocz*).

Patrz, przyjrzyj się!

ZUZIA.

A cóż ja temu winna?

MARTA.

A któż winien?

ZUZIA (*z przekonaniem*).

Komendyja, proszę pani. A jużci.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Co ty bzdurzysz, idyotko?

ZUZIA.

A ino! Przecież ja jedna nie mogę się rozerwać. Obiad gotuj w kuchni, w przedpokoju otwieraj i w dzieciennym pokoju siedź... Jakżebyś poradziła na tyle miejsc? Przódki pani była ciągiem kole dzieci i przy obiedzie nieraz dopomogła, tom się prędzej mogła obrobić; a teraz, odkąd ta bestyjska komendyja w drogę wlaźła, nic i nic! (*Słychać dzwonek*). O, znowuj ktosik dzwoni. Niczem w kościele! Od rana do nocy dyń dyń, a ty, sługo, ciągiem stój i otwieraj! (*Wychodzi*).

MARTA (*ogładając włosy*).

Mój Boże! Takie śliczne włosy!

JÓZIA (*tułąc się do matki*).

Ale mamusia nie wybije Adasia?

MARTA.

O, wybije! Dostanie w skórę, jak nigdy.

JÓZIA (*z tryumfem*).

E! nie dostanie, plose mamusi, bo jak on mi walkocyk obciał, to ja łózge, wyrzucilam lufci-kiem.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Moje ty pocziwe dziecko w tym względzie... Słyszałaś, Marciu?

MARTA.

Słyszałam, mężulku!

JÓZIA.

A pojedziemy do Kozich Łapek, tatusiu?

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Pojedziemy! Wiesz, Marciu, niech tam sobie ci panowie powołani od Boga piszą. Nie chcę już być ani Zalewskim, ani żadnym innym. Miał rację Lipieniecki; to już jakoś inaczej się człowiek do tego rodzi w tym względzie!

MARTA (*wahająco*).

Ależ Dyziu! Co sobie o nas pomyśla? Stawscy dopieroby tryumfowali!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Niech tryumfują. Widzisz, żono, dwie sroki za ogon trzymać...

MARTA (*wskazuje oczyma Klicińskiego*).
Fe! Któż o takich brzydkich rzeczach mówi!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

A cóż to brzydkiego w tym względzie? Szkoda by mi było Kozich Łapek. (*Patrzy na Klicińskiego*). I do tego komedyo i poezyoroba już bym zaufania nie miał. Hmu! z moją żoną próby mu się zachciało w tym względzie! Amator! Nie głupim! Wolę ja mieć żonę w Kozich Łapkach bez prób... (*Głośno*). Więc jedziemy, Marteczko? Ja gotów jestem! Tak mi jest, jakby mię kto szpilkami podkłuł.

MARTA.

Skoro chcesz koniecznie... Żal mi doprawdy! Imię nasze uwiecznione dla dzieci jako pamiątkaby została.

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Kozie Łapki to lepsza dla nich pamiątka w tym względzie! (*Wbiega Zuzia*).

ZUZIA.

Proszę pana...

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Albo co? Ty zawsze w tym względzie latasz, jakby cię co opętało.

ZUZIA.

Już drugi raz przyleciał.

ŻOŁĘDZIŃSCY (*razem*).

Kto?

ZUZIA.

Ano woźny! Kazał powiedzieć, żeby pan Kliciński do biura nie chodził, bo nie potrza.

KLICIŃSKI.

Co?

ZUZIA.

Pan Naczelnik pono nie kazał bez to, co pan ciągiem z biura uciekał.

ŻOŁĘDZIŃSKI

A niechże go najjaśniejsze w tym względzie.

KLICIŃSKI (*szukając kapelusza*).

Czy warto u nas poświęcać się dla ludzkości, kiedy w płytkich umysłach tyle głupoty gości!

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Cóż pan zrobisz w tym względzie?

MARTA.

Niech mu pan prawdę powie: cel poważny, praca dla ogółu...

KLICIŃSKI.

Pani ma słuszość! Biegnę. Moje uszanowanie! (*Wybiega przerażony*).

ŻOŁĘDZIŃSKI.

Każ ty rzeczy pakować, Marteczko. Jutro wyjeżdżamy!

ZUZIA.

O retę! wściekła się komendęja! A to to wszystko, proszę pani, bez to ziele...

MARTA

Jakie ziele?

ZUZIA.

Obojęśwa z Marcinem na Ochocie u zamawiaczki zamówili. Wsypałam ono ziółeczko do samowaru, państwo wypili i już, a to po wszystkim!

MARTA (*do męża*).

Co ona plecie?

ŻOLEŃDZIŃSKI (*śmieję się*).

Zielskiem nas jakimś napoiła...

ZUZIA (*j. w.*).

A ino! »Ziele — mówiła zamawiaczka — wsyp do herbaty, państwo wypiję, i komendęja pójdzie, skąd przysła!« Bo to nie jest co jenszego, proszę pani, ino złe... Ono różnie w człowieku bonuje.

ŻOLEŃDZIŃSKI (*trzymając się za boki*).

A niech cię kaci do kaduka w tym względzie! Cha, cha, cha! Marciu, Marteczko, słyszałaś? Komedę z nas wypędzała... Cha, cha, cha!

ZUZIA (*całując go w rękę*).

Proszę pana bez urazy, ale mi okrutnie Kozich Łapek było żal... Do cnaby wyniszczyli próżniaki.

ŻOLEŃDZIŃSKI.

No, dobrze, już dobrze! Ruszaj do kuchni. Za wiele sobie pozwalasz... (*Zuzia wychodzi*).

ŻOLEŃDZIŃSKI (*nalewając kieliszek wina*).

W każdej okazyi truneczek nie zawadzi w tym względzie... (*Podnosi kieliszek*). Wypiję zdrowie wszystkich komedýorobów w tym względzie i uciekam do Kozich Łapek. (*Wychyla kieliszek*).

ZASŁONA SPADA.

